

“Podszycie nieba”

Amias ukończył podwijanie rękawów fartucha laboratoryjnego, upewniając się, że rewers materiału pozostanie niewidoczny.

— Wyglądasz w tym jak totalnie za młody jajogłowy — szepnęła Nyxara, powstrzymując śmiech.

— Nie moja wina, że bachnęliśmy akurat takich — odburknął Amias, wpatrując się w ogołoczone do bokserek, dwumetrowe ciała leżące w bezruchu.

— Gdybyś pił więcej mleka, to może by pasowało — odparła, otrzepując kitel z pyłu.

— Mamy robotę do zrobienia, możemy już iść?

Amias i Nyxara opuścili magazyn substancji chemicznych po tym, jak upchnęli tęgie umysły pracowników do szafy na chemikalia. Sieć korytarzy placówki badawczej wydawała się być nieznającą końca nicią pająka. Droga do laboratorium prowadziła przez dział żywnościowy, który w lwiej części składał się ze stołówek wartej nie więcej niż kilka rinów.

— Wzięłaś swoją kartę pracowniczą? — zapytał cicho Amias, podziwiając zabrudzone tłuszczem, zachęcające do ataku epilepsji lampy LED przymocowane nad ich głowami.

— Oczywiście, nic się nie martw. Wyglądam prawie jak on — odparła Nyxara, pokazując współnikowi zdjęcie naukowca na kawałku plastiku.

— Jak dwie krople wody — westchnął.

— Bez wątpienia. Swoją drogą, myśles się dzisiaj?

— Doskonale zdajesz sobie sprawę, że przyczyną tego zapachu są stęchłe ryby, które tutaj podają — prychnął Amias, lekko marszcząc brwi.

— Mam nadzieję.

Monumentalna, pancerna brama wypełniała coraz większą powierzchnię w oczach Infiltratorów. W miarę zbliżania się do punktu docelowego, Amias zauważał podwyższone natężenie ludzi w korytarzu. Mnóstwo z nich odchodziło w boczne odnogi, plotkowało przy wejściu lub wstępowało bezpośrednio do środka skanując kartę na elektronicznym czytniku.

— Przygotuj się — przypomniał Amias.

Infiltrator czuł narastający niepokój, wbrew temu, że misja należała do teoretycznie prostych. Zabezpieczenia prezentowały się groteskowo nieskomplikowanie. Większe badania prowadzono w niezliczonej liczbie innych ośrodków, ale przecież gdyby ludzie dowiedzieli się, co oni tu robią, to oznaczałoby rewolucję. Co, jeśli ich agencja od początku była pod butem rządu? Spocone palce Amiasa powoli przeciągały kartą po czytniku. W myślach spodziewał się tylko jednego rezultatu - gigantycznego, czerwonego napisu „KARTA ODRZUCONA” na panelu, głośnego, bijącego w uszy alarmu i kulki w głowie. Czy tak wielu z nich musiało nosić spluwy?

Czytnik wydał krótki sygnał dźwiękowy, a ocieężałe drzwi momentalnie rozsunęły się. Oboje infiltratorów odetchnęło z ulgą, wchodząc do kilkumetrowego tunelu bezpieczeństwa. Po chwili kwasoodporne, wykonane ze stali nierdzewnej podwoje ukazały Amiasowi i Nyxarze ogromny kompleks pomieszczeń wielkości boiska do piłki nożnej. Kolorystyka zmieniła diametralnie swą istotę – nudnawe, srebrzyste ściany i sufit zostały zastąpione przez białe, połyskujące płyty laminowane. Amias i Nyxara mimowolnie wychwycili swoje odbicia w ceramicznej podłodze pokrytej żywicą epoksydową.

Amias poluzował zapięcie trzymanej w lewej ręce aktówki, dając zielone światło miniaturowym dronom na powolne rozprzestrzenianie się po pomieszczeniach. Niewidzialne dla oka, autonomiczne urządzenia pozostawały pod progiem percepcji zarówno ludzi, jak i najbardziej wyczulonych na bodźce zwierząt. Czujniki otoczenia umieszczone na powierzchni bezzałogowców przez inżynierów GARA sprowadzały zadanie infiltratorów do prostych formalności.

Pokonywanie kolejnych sali laboratoryjnych sprowadzało na Amiasa i Nyxarę coraz więcej spojrzeń naukowców wykonujących najróżniejsze czynności – biała szarańcza zajmowała się regulacją emisji promieniowania Hawkinga przez obiekt badań, modyfikowaniem parametrów kwantowego manipulatora pola, a także monitorowaniem ciśnienia. Jakże odmienny widok od dwójki infiltratorów wałęsających się w pozornej, kłamliwej sielance.

Amias i Nyxara zbliżali się do centralnej części laboratorium, będącej najważniejszym punktem kolizyjnym akceleratora cząstek. To w tym miejscu swoje ujścia miały długawe, ściśnięte w kształt pierścienia tunele goszczące w środku rozpędzane do wartości bliskich prędkości światła protony i jony. Srebrnoszary, cylindryczny magnes powodował, że cząstki zderzały się w jednym, konkretnym punkcie będącym celem wszystkich działań laboratorium.

Amias szturchnął Nyxarę w ramię.

— Pięć sekund — wyszeptał.

W ciągu następnych kilku chwil nastąpiło to, czego nie spodziewał się nikt z laborantów, a na co Infiltratorzy przeznaczyli paręnaście sesji ćwiczeniowych. Pod nosem każdego ze znajdujących się w pomieszczeniu – nie licząc niespodziewanych gości – powietrze zabarwiło się na limonkową barwę. Garść zorientowała się o swoim nieuchronnym losie upadnięcia na ziemię w beztróskim śnie, lecz było już za późno. Zanim pierwsze ciało osunęło się z hukiem na podłogę, Amias i Nyxara ukończyli zakładanie przesadnie konwencjonalnych, ale jakże pożądaných w tej chwili masek przeciwigazowych, całkowicie izolujących ich od powietrza z zewnątrz. Walcowaty pojemnik z eterem wystarczał na godzinę użytkowania.

— Wreszcie spokój — westchnęła dziewczyna, znacznie pogrubionym przez powierzchnię maski głosem.

Infiltratorzy natychmiastowo rozpoczęli realizację planu. Po odbezpieczeniu wejścia do pomieszczenia kolizyjnego, Amias wyciągnął z aktówki ostatni, najważniejszy przedmiot – aplikator antymaterii. Urządzenie wyglądem przypominające pistolet automatyczny składało się z dwóch, wyraźnie oddzielonych części – dolny człon, nazywany przez Amiasa magazynkiem, był w rzeczywistości modulem generującym antymaterię. GARA opatentowało ten wynalazek dużo wcześniej od rządu, a wydajność gadżetów agencji cieszyła się większą wydajnością. Podłużny, zwieńczony szpikulcem komponent maszyny stanowiła komora aplikująca – to właśnie na jej krańcu antymateria opuszczała sztuczne środowisko wnętrza urządzenia, nieuchronnie dążąc do anihilacji wraz z normalną materią.

Tym razem miała inne zadanie.

W pełni wyposażony Amias zrobił kilka kroków, a następnie za pomocą wielofunkcyjnego zegarka GARA wysłał wiązki światła w głąb sali. Tylko w taki sposób mógł wykryć obiekt, o którego „zamknięcie i wycięcie z tego świata” zabiegał Quillborn.

Fotony błyskawicznie przebyły drogę w obie strony, generując na karzełkowatym panelu mapę otoczenia.

— Mamy to — ucieszył się Amias. Niewielka, półprzezroczysta strzałka wskazywała miejsce, w które należy zaaplikować antymaterię. Po znacznym przybliżeniu za pomocą aparatu wizualnego w zegarku, drobna, podświetlona na czerwono plamka wskazała obiekt, który nie zwrócił do nadawcy wyemitowanych cząstek światła.

Nieustanny, bijący w uszy alarm wybudził infiltratorów z chwilowego rozluźnienia. Dzięki zmianie sekwencji haseł do jedynych drzwi wejściowych przez dalej pracujące miniaturowe drony GARA, czas gości został nieznacznie wydłużony.

— Poddajcie się, nie wiecie co robicie!

Nyxara instynktownie odwróciła się, spotykając się ze spojrzeniem niezbyt zadowolonego osobnika widocznie wyrwanego z błogiej pracy. Biaława, założona tył na przód maska zdobiła starą skórę o dziwo przytomnego laboranta.

— Jestem trochę zajęty. Zajmiesz się nim? — wymamrotał Amias, w pełni skupiony na nastawieniu igły aplikującej w odpowiednie miejsce.

— Eh, wiedziałam, że te drony są do kitu. Musimy poprosić Quillborna, żeby załatwił nam coś lepszego — westchnęła Nyxara, ładując nabój usypiający do skromnej, kilkucentymetrowej spluwy przymocowanej do jej nadgarstka.

— Już wezwałem wsparcie! Odpowiedcie za wszyst...

Igła wbita w ramię naukowca błyskawicznie pozbawiła pracownika przytomności. Jeszcze jeden, tym razem ostatni huk.

— Wykonane, sir. Dlaczego nasze skrzydlate skarbenka nie dmuchają ManoRegulixem, a tym szajsem? Oby to był jedyny obudzony.

— Regulacja zakończona — oznajmił sztuczny, kobiecy głos asystenta głosowego. — Sfinalizowano kalibrację igły dla następującego obiektu – czarna dziura.

— Żegnaj kochana.

Antymateria opuściła aplikator, doprowadzając do krótkiego, nagłego błysku światła w pomieszczeniu. Wcześniejsze odwrócenie się obserwatorów od miejsca anihilacji pozwoliło im zachować wzrok w nienaruszonej formie.

— Ah, Za każdym razem satysfakcja jest taka sama.

— Następnym razem moja kolej — odparła z uśmiechem Nyxara, dołączając do Amiasa w biegu.

Zapętlone nuty prostego, przeraźliwie głośnego alarmu tworzyły z stukiem dwóch par butów magiczną symfonię, która pochłonęła na krótką chwilę całe skupienie Amiasa. Leżące przy ścianach, jak również na

drodze infiltratorów ciała tworzyły w jego głowie układ nieuporządkowany, ale dlatego doskonały. Żadnej krwi, śladów ingerencji ani krzyków i opłakiwań. Czymże innym jest sztuka niż niekończącą się spiralą, w której to jego zadaniem było odnaleźć najpiękniejszy fragment?

Amias poczuł kobiecą rękę na barku, wchodząc w ruch niejednostajnie opóźniony.

— Znowu bujasz w obłokach? Powiadom Beowulfa, że już idziemy, no chyba, że chcesz zostać pogrzebany tutaj żywcem. Bo ja nie chcę.

— Już to robię, wybaczyć za zwłokę — odparł Amias po krótkiej chwili milczenia, wracając do teraźniejszości.

Cieliście jasne palce uderzyły trzy razy w zegarek na nadgarstku infiltratora. Gdy przemówił stalowy głos Beowulfa, stając obok Nyxara prawie odskoczyła od źródła dźwięku.

— Trzydzieści sekund i wchodźcie — powiadomił członek agencji, odpowiedzialny za pomoc w ucieczce.

Małe urządzenie przeszło w tryb nieaktywności, co oznaczało kres połączenia.

— Jeszcze dwa pomieszczenia, chodźmy — zarządził Amias, tym razem wybudzony z zadumy.

„Robota wykonana”, pomyślała Nyxara. Mimo krztyny komplikacji, udało się im pożegnać kolejną czarną dziurę. Zawsze wykonywali robotę najlepiej jak potrafią, więc dlaczego mieliby obawiać się rezultatu? Dziewczyna miała kilka asów w rękawie, więc nie martwiła się o siebie. Czuli jednak, że podczas ostatnich operacji Amias ma kłopoty z koncentracją. Gdyby tylko wiedziała, jaki jest ich powód...od razu by mu pomogła.

— No, to chyba tutaj.

Oczy infiltratorów wbiły się w pustą, lekko trzęsącą się ścianę znajdującą się w punkcie zbiórki. Wydawało się, że minęła wieczność, kiedy wreszcie płytki runęły na ziemię, wypełniając salę gruzem i pyłem węglowym.

— Całe szczęście, że mamy maski — odetchnęła Nyxara.

— Spokojnie, w tunelu są lepsze warunki. Nie powinien się zawalić — wybrzmiał niski głos Beowulfa. Po chwili warstwa pyłu przestała zakrywać jego muskularne ciało, widoczne nawet w okrytej kurzem i brudem, przylepionej do ciała koszulce.

Wraz z sylwetką Beowulfa infiltratorom ukazał się szeroki, mdławo oświetlony korytarz – ich jedyna szansa na ucieczkę z placówki. Oprócz sporadycznie stawianych drewnianych desek mających gwarantować, że tunel się nie zawali, w oczy rzucała się zaparkowana w błocie zielona moro ciężarówka. Pomimo wielu dekad na karku, jej pancerz dalej blokował pociski, a silnik pozwalał na efektywne, a zwłaszcza efektowne podróże – chociaż w tej kwestii aktywiści środowiskowi mieli inną opinię.

Chwilę po tym, gdy Amias i Nyxara wsiedli do ciężarówki, otoczenie wypełnił przeraźliwy warkot i fala dymu. Miejsce parkingowe pełne błotnej powierzchni utrudniało Beowulfowi wjazd na prowizoryczną, półpasową drogę. Wbrew trudnościom, umiejętności

i doświadczenie w prowadzeniu pojazdów kierowcy wzięły górę nad nieprzyjaznym podłożem. Kiedy

pojazd przejechał kilka metrów, z laboratorium wybrzmiał bezlik ostrych, potężnych huków, a trójka w ciężarówce automatycznie drgnęła. Nyxara odwróciła się w tył, a zamiast jasnego obrazu w szybie zobaczyła rozsiane wszędzie pęknięcia. Bezpośrednio za siedzeniem infiltratorka ujrzała błyszczący, prawie złoty przedmiot, który nie zdołał przebić szkła – zdeformowany pocisk.

— Nie obracajcie się. Szyby wytrzymają — wytłumaczył Beowulf, nie odrywając wzroku od drogi.

— Łatwo ci mówić, gdy siedzisz z przodu! Możesz jechać szybciej? — wykrzyknęła Nyxara, zaskoczona szybkim atakiem ochroniarzy placówki.

— Spokojnie. Nie mogą nas dogonić bez pojazdu.

— Z naszą prędkością nie wykluczałbym tego — wtrącił kąśliwie Amias.

Ogień z glocków ustał. Przednie lampy ciężarówki przestały być jedynym źródłem światła. Wraz z każdą sekundą, jasny krajobraz powierzchni nieubłagane zbliżał się do wozu. Dłonie Amiasa podświadomie powędrowały pod czoło, gdy promienie słonecznie smagały jego białą skórę. Po chwili otworzył oczy. Sięgająca tysiące metrów wysokości grań zdawała się dotykać nieba, a w polu widzenia nie jawiły się żadne ślady cywilizacji – zupełnie, jakby pokonując odrobinę kilometrów znaleźli się na drugim krańcu świata, otoczonym górami

i stromymi zboczami. Niewielka równina, do której prowadził Beowulf wyboistą drogą, stanowiła jedyny płaski teren w okolicy.

Helikopter zmaterializował się. Połyskujące metalem, trójkątne urządzenie w rękach Beowulfa sprawiło, że ich środek transportu wyszedł z trybu kamuflażu. Technologia opracowana przez GARA całkowicie ukrywała statek, jednocześnie wytłumiając jego potrząsanie śmigieł, nie pozwalając najskuteczniejszym radarom na wykrycie. Spośród dwudziestu ośmiu misji w których brał udział, GA-21 ani razu nie zawiódł swojej załogi.

— No, brawo. Kolejna misja wykonana bez komplikacji — mruknął Beowulf, przygotowując helikopter do startu.

— Aż tak dobrze nie było. Gaz z tych dronów jest jakiś trefny. Jeden z laborantów zdążył założyć maskę przed otruciem — napomknął Amias, wpatrując się w płynący niedaleko potok, wędrując oczami w poszukiwaniu jego źródła.

— Trzymaj — odburknął, wręczając Amiasowi walcowate, stalowe ustrojstwo z odsłoniętą do połowy obudową ukazującą czerwony plastik. — Odbijcie sobie.

— Oboje wiemy, kto powinien to zrobić, dawaj to — wtrąciła się Nyxara, wyrywając urządzenie z rąk Amiasa.

— Nie będę się kłócić, dzisiaj sobie zasłużyłaś.

— Ha.

Pół sekundy po tym, gdy Nyxara wcisnęła kciukiem czerwony przycisk, w miejscu, w którym Beowulf zaparkował ciężarówkę uwolnił się ogromny kłęb dymu, błyskawicznie rozprzestrzeniający się w powietrzu. Dziewczyna jednak najbardziej ukontentowała się z niskiego, głośnego wybuchu ładunków dynamitu podłożonych w wozie.

— Kocham tę robotę — westchnęła usatysfakcjonowana.

— Nie robimy tego bez powodu. My tylko usuwamy dowody — odparł Beowulf, lekko się uśmiechając.

Wdech.

Czerwieniejący żagiew wypełniał izbę odorem palącego się drewna. Palisandrowa podłoga zabrudziła się popiołem. Płomień powiększał się, a gdy wydawało się, że pochłonął całe pomieszczenie...zgasł. Sala wypełniła się nicością. Wybrzmiewał trzepot skrzydeł much, muzyczne tło wypełniała płynąca woda w kanalizacji. Wszystko, co było, a także wszystko, co będzie zamarło.

Liczyło się tu i teraz.

Gdyby wyobrazić sobie natychmiastowy zanik wszystkich myśli, wspomnień i obaw...właśnie tak by to wyglądało.

Wydech.

Nyxara wstała z jutowej maty, doprowadzając poranną sesję do końca. Codzienna medytacja pozwalała jej oczyścić umysł, jednocześnie pomagając zapomnieć o codziennych zmartwieniach. Rozwój duchowy zajmował specjalne miejsce w życiu członków Agencji GARA – nie tylko ze względu na ideowe pobudki. Dawał on dodatkową pewność, że kiedy nadejdzie czas, każdy będzie gotów.

Zachodnie skrzydło placówki prowadziło na zewnątrz świat. Po wyjściu ze swojego pokoju, Nyxara udała się w górę granitowymi schodami, trzymając się wypolerowanej barierki. Automatyczne wrota rozwarły się, ukazując pomalowane żółtawymi kolorami, bezkresne pole – już metr od wyjścia rosło zboże. Żyto i owies bujały się na wietrze, wypełniając cały horyzont. Skromne drzwi otoczone pustkowiem były jednym z dwóch sposobów na dostanie się do placówki. Drugie, znacznie częściej stosowane rozwiązanie stanowiła platforma o promieniu prawie stu metrów, służąca głównie do transportu surowców, żywności, narzędzi i technologii do bazy. Placówka GARA stanowiła jeden z wielu podmiotów w włóknie połączonych organizacji, stworzonych po feralnych wyborach w pięćdziesięciolecie utworzenia rządu światowego.

Drzwi otwarły się ponownie.

— Gotowa na *city break*? — Nyxara potrzebowała chwili, by dojrzeć swojego rozmówcę. Złocista, tkaninowa koszula Amiasa całkowicie zlewała się z otoczeniem.

— Chciałabym — westchnęła. — Nie dają nam odpoczynku w ostatnim czasie.

— Obstawiam, że to przez braki kadrowe. Ostatnie czyste umysły osiągają osiemnasty rok życia, a potem to już...sama wiesz.

— To prawda. Cieszę się, że zdążyliśmy — odparła Nyxara wstając.

Droga do Meru z bazy GARA prowadziła przez polną, opuszczoną i zapomnianą ścieżkę aż do autostrady. Po wjechaniu na drogę ekspresową, automatyczny system prowadzenia pojazdu włączył się. Dzięki rozwojowi sztucznej inteligencji prędkość przestała być realnym zagrożeniem, a wraz z wynalezieniem silników tlenowych objechanie kontynentu w mniej niż dziesięć stało się błahostką.

Amias kliknął we wbudowany w samochód tablet, przeciągając palcem w lewo. Na wewnętrznej szybie wyświetliła się mapa Meru. Z lotu ptaka miasto wyglądało jak równa szachownica z sztucznie wydzielonymi drogami, krzyżującymi się co kilkaset metrów. W północno-zachodnim rogu mapy widniał podświetlony na niebiesko punkt. Amias przybliżył widok na okrąg Poorich, region, w którym z łatwością przychodziło otrzymać zimne piwo lub stracić życie w niespodziewanej konfrontacji z zakałą miasta.

— Jak myślisz, czego dowiemy się na spotkaniu z Kontaktem? Rzadko komunikują się z nami w ten sposób — ziewnęła Nyxara. Dziewczyna rozłożyła się na tylnych siedzeniach, oglądając filmy z kotami na małym, matowym telewizorze.

— W ostatnim czasie coraz mniej wiemy. Nasze kanały mówią, że rząd siedzi cicho, więc pewnie szykują coś jeszcze większego niż dotychczas — odpowiedział Amias zamyślnym głosem.

— Ciężko mi sobie wyobrazić, żeby tym razem to było coś innego — odparła, przenosząc wzrok na szybę. — Czarne dziury to już rzecz nie do pomyślenia...

— Poczytaj trochę Einsteina. Są jeszcze gorsze – i dlatego ciekawsze – możliwości.

Puste pola w mgnieniu oka ustąpiły miejsca drapaczom chmur. Kontrast pomiędzy miastem, a tym, co go otaczało, można było porównać do stanu, który przeżyłby człowiek z neolitu obudzony po paręnaście tysięcy lat później. Nic dziwnego - Meru nadawano miano sztucznego tworu, wybudowanego na pustkowiu pól i zagajników. Termin „przedmieścia” w jego przypadku nie istniał. Teren wyrównano co do metra, próżno szukać nasyp czy wiaduktów. Architektura miasta cechowała się jednorodnością – wykonane z samoczyszczącego się szkła elewacje sięgały ponad pole widzenia. Na przekór takim samym warunkom życia, bogacze i monopolisci gospodarowali zazwyczaj w centralnym regionie Fere.

Urządzenie przypominające krzyżówkę fotoradaru i kamery CCTV mignęło czerwonym promieniem w momencie wjazdu czarnego sedana w teren miasta. Po chwili kontrolka dostępu zaświeciła się na zielono, a do uszu Amiasa i Nyxary doszedł pogodny, męski głos - „weryfikacja ukończona pomyślnie”. Skan pojazdu obejmował tylko i wyłącznie twarze pasażerów — żadne inne dane nie były potrzebne w przypadku tak niezawodnie działającej technologii.

Amias zdjął z siebie celybrynową maskę, a urządzenie wróciło do swojego pasywnego stanu kremowej szmatki. Materiał przymocowywał się do kluczowych punktów mięśniowych twarzy, modyfikując jej kształt oraz tworząc iluzję nierozróżnialną od oryginału na odległość od dwóch metrów.

— Właśnie, mamy jakieś informacje o wyglądzie Kontaktu?

— Nie wydaje mi się. — Amias przełączył wyświetlaną zakładkę na dane o misji. — Budynek numer dwieście piętnaście, toaleta dla niepełnosprawnych, piętro drugie, godzina dziesiąta dwadzieścia siedem. Tak jak myślałem, brak informacji o Kontakcie. No cóż, to co mamy powinno wystarczyć — dokończył, splatając ręce za głową.

Panel GPS w czarnym sedanie zaburczał po zakręcie na ulicę Truthlie.

— Już prawie jesteśmy. Weź aktówkę, w razie czego.

— Wszystko mam, nie bój nic — odparła figlarnym tonem Nyxara.

Czarnawa podłoga parteru biernie wchłaniała całe światło. Posępna powierzchnia nie portretowała rachitycznego odbicia Amiasa. Przestrzeń wydawała się niestabilna. Co chroni jego i Nyxarę przed zawaleniem się w dół niczym w rzymskim hipokaustum?

Drugie piętro biurowca wyłożono puszystym, białym dywanem z długim włosiem. Koniec korytarza zwiastowała niebieska tabliczka „WC” wskazująca na szare drzwi w lewej ścianie.

We wnętrzu pomieszczenia, oznaczonego piktogramem człowieka na wózku inwalidzkim, rozciągał się metaliczny zapach. Pod jedną z umywalek skuliła się skryta w czarnej szacie postać.

— Truskawka.

— Awokado — odpowiedział Amiasowi zniekształcony, jakby modulowany głos.

— Zna hasło. To on. — szepnęła Nyxara.

Dziewczyna zbliżyła się na odległość dwóch metrów do umywalki, otwierając aktówkę w celu zabrania dysku z danymi.

W tej chwili dla Amiasa stało się jasne, dlaczego w powietrzu czuć żelazo – i były do tego przynajmniej dwa powody.

— To pułapka! Nie...

Android błyskawicznie runął przed siebie, odsłaniając długie, mechaniczne kończyny wraz z podłużną głową wypełnioną sensorami i światełkami. Amias zdołał uniknąć staranowania przez biegnącą postać, w przeciwieństwie do Nyxary. Dziewczyna została odepchnięta w bok i boleśnie wpadła na drzwi kabiny.

— Nie przejmuj się mną, biegnij! — krzyknęła Nyxara, widząc niezdecydowanie w oczach Amiasa. Ten od razu wyfrunął na korytarz.

Charakterystyczny sposób przemieszczania się androida, przypominający kroki baletnicy, od razu nasunął Amiasowi jedną myśl – NUUH-28. Za enigmatycznym hasłem kryły się w pełni autonomiczne roboty dysponujące własnym układem sterowniczym, służące do strzeżenia bramek w klubach czy serwowaniem napojów w barze. Jednak odpowiednio zmodyfikowane, stanowiły zwinne, śmiertelne narzędzie do operacji specjalnych, co potwierdzał zawieszony na plecach karabin laserowy.

Po chwili pościg zamienił się w bieg wytrzymałościowy, a dokładniej test kondycji; android kierował się na najwyższe piętro budynku obszernymi, kręconymi schodami. Amias, mimo sporej zadyszki, nie odstawał maszynie na więcej niż pięć kroków. Nagle, robot wyrzucił zza brzucha kulisty, pikający przedmiot. Obszar rażenia granatu objął teren tuż za Amiasem, powodując zawalenie się części ściany i schodów.

„O mały włos” — pomyślał.

Droid zbliżył się do dachu na odległość dziesięciu kroków, po czym otworzył ogień zaporowy w kierunku Amiasa. Pierwsza i każda kolejna wiązka laserowa uderzyła w prostokątną, półprzepuszczalną tarczę rozstawioną na wysokość sylwetki agenta. Po dotarciu na płaski teren dachu android wydawał się gotowy do popełnienia honorowego samobójstwa. Gdy robot odrywał mechaniczne stopy od powierzchni, konfiguracja ładunku IEM ukończyła się – wiązka wysłana z zegarka Amiasa wyłączyła robota. Głowa zdążyła przekroczyć barierkę, bezwładnie zwisając w dół.

Amias podszedł w kierunku metalowych zwłok. Wyraźnie zgnieciony, bliski wydania ostatniego tchnienia dysk wypadł z mechanicznego uścisku. Włożenie nośnika do otworu w zegarku Amiasa zwińczyło się zaiskrzeniem dysku.

— To z tego już nie skorzystamy — westchnął, chowając dysk do kieszeni.

Pędząc w górę schodami, Nyxara wreszcie wpadła na swojego towarzysza. Amias uśmiechnął się, gdy siła niegroźnego zderzenia powaliła go na ziemię.

— Udało się? — spytała Nyxara zdyszonym głosem, pomagając wstać Amiasowi.

— Mamy część danych, pokażę ci później. Co z Kontaktem?

Chwila milczenia.

— Android schował ciało w kabinie. Musieli wiedzieć o spotkaniu...

— Nieważne. Jeśli wysłali jeszcze kogoś, już by tu był. Misja wykonana.

Amias i Nyxara wrócili truchtem do czarnego sedana.

Cykl jest dziecinnie prosty – szczyt i upadek. Ludzki mózg to nic innego jak maszyna do szycia. Jest niczym bez źródła energii; regularne oliwienie to kolejny nakaz. Karmienie go hormonami szczęścia to jedyny sposób na wymuszenie pełnej sprawności.

Lecz najważniejszy jest cel. Czym jest świeczka bez knotu, pusta kartka papieru lub butelka niewypełniona cieczą? Trzeba wejść w egzystencjalizm, niestety. Idee są tym, co nas prowadzi. Nie chcemy mitygować się w pogoni za zwycięstwem. Wygląda na to, że zatrzymanie się na przeciętności byłoby co najmniej...nierozsądne. Jest jednak coś, co nam zawadza. Ten organ, mózg, ma jedną istotną wadę. Lenistwo. Nie posłucha odległego głosiku piszczącego o poświęcenie się w imię jakiejś wymaginowanej przyszłej korzyści. Jest jednak rozwiązanie dla takich jak my. Pozwól mu poczuć zawiść, pogardę i całą paletę pozornie negatywnych emocji, oczywiście w kontrolowanych ilościach. Przekonałem się, że to jedyne rozwiązanie dla tych zmierzających ku podszyciu nieba.

Krople potu uwolniły się od lekko trądzikowej skóry, uderzając w neoprenową powierzchnię. Zapach wysiłku wypełnił – oby tylko – niewielkie, kwadratowe pomieszczenie służące za siłownię. Wyposażenie miało swoje lata. Liczby na żeliwnych, powleczonej gumą krążkach hantli były jeszcze przedstawione w kilogramach, a znalezienie niechropowatego gryfu graniczyło z cudem. Najgorzej wyglądała maszyna do *hack squat*'u. Matowa farba na wykończeniach dawno wyblakła, odsłaniając srebrzysty metal pierwotnej budowy. Dwie wiszące lampy tworzące kształt krzyżyka świeciły nikłym strumykiem, z trudem wypełniając mrok w pomieszczeniu.

„Jeszcze jedna seria. Musisz dać radę”

Osiem...dziewięć...dziesięć.

— No wreszcie, udało się! — Sztanga z czterema talerzami po bokach upadła na gumową powierzchnię, odbijając się dwa razy, po czym umilkła. Chwilę później schudła osiemdziesiąt kilogramów.

Przyjemna woń żelu pod prysznic współgrała z bezchmurnym, wypełnionym gwiazdami niebem. Do rozchodzącego się w okolicy oddechu Amiasa dołączył drugi, należący do Nyxary.

— Nowa pasja, hmm? — Dziewczyna położyła się na trawie obok, przekierowując wzrok na bezkres nieboskłonu.

— Widzisz Wielki Wóz?

— Chyba tak... Ten niby-trapez z przydługim ogonem? Kiedyś znałam się na tym bardziej — zaśmiała się Nyxara.

— Tak. Teraz przedłuż pięć razy w górę przez dwie tylne gwiazdy.

— Dobrze astralny nauczycielu — odparła z przekąsem. — To była...

— ...Gwiazda Polarna. — Spojrzenia Amiasa i Nyxary spotkały się. — Nigdy nie znika z nocnego nieba. Pomagała ludziom od starożytności, ciężko sobie wyobrazić, by nagle bezpowrotnie zgasła.

— Zdecydowanie za mało ludzi ją docenia — zgodziła się.

— A jeszcze mniej wie, że nie każdy może ją zobaczyć — westchnął Amias.

— Co masz na myśli? — odpowiedziała Nyxara, otwierając oczy szerzej.

— Nie ujrzysz Gwiazdy Polarnej z półkuli południowej.

Bezdźwięczna cisza wydawała się być bardziej planowanym momentem w rozmowie, aniżeli oznaką niezręczności sytuacji.

— Ty zawsze powiesz coś interesującego — roześmiała się. — Cieszę się, że przydzielili nas razem na następny rok — dodała, błogo się rozciągając. — Myślałeś już, co to oznacza? — dokończyła, wyciągając z kieszeni flanelowych spodni wypełniony kolorowym tuszem kawałek papieru. Obrazek ukazywał szarego orła po lewej wysuwającego skrzydło do oranżowego feniksa po drugiej stronie. Wykonane z kości artefakty w postaci naszyjników i amuletów porozrzucone były chaotycznie wokół zniszczonego tronu króla przestworzy. Skromne, stonowane tło i zbliżające się do siebie palce postaci nasuwały na myśl *Stworzenie Adama*. Skrzydło skąpanego w płomieniach feniksa trzymało konkretny przedmiot – czaszkę człowieka.

Amias wziął grafikę do dłoni.

— Myślałem już nad tym, ale bez innych danych... — westchnął. — Mamy plik PNG, informacje logistyczne i organizacyjne. Nic o istocie sprawy. Możemy gdybać, ale prawda jest taka, że dowiemy się na miejscu.

— Pełna zgoda — odparła. — Mamy ogromne szczęście, że ominęło nas chipowanie. Jedno kliknięcie urzędnika i puf.

— Już rok po naszym roczniku zaczęto aplikować je od urodzenia, lepiej być nie mogło. Gdybyśmy dobili osiemnastki w tej mogile, byłoby tak samo z nami.

— Zróbmy użytek z tej wolności — rzekła, poklepując Amiasa po ramieniu.

Ekscentryczne kolory gościły na ścianach i umeblowaniu biura. Quillborna tytułowano bezgranicznym adoratorem terakoty, nieistotne w jakiej formie. Rolę foteli przejęły wypchane pufy, a biurko przypominało przedszkolny stolik zamalowany flamastrami. Zamiast prostych ludzików i wątpliwie odwzorowanych zwierząt miejsce pracy zawierało nieskomplikowane szkice architektoniczne, wizualne próby przedstawienia planów infiltracji oraz gołębia, wyraźnie pozbawionego jednego z piór w ogonie. Ten ostatni to swoisty inkluz Quillborna.

— Czego jeszcze wam do szczęścia potrzeba?

Amias wymierzył sugestywne spojrzenie w kierunku Quillborna, uznając pytanie za retoryczne.

— No dobra, dobra mam dla was nowe zabawki. Wybieraj co dusza zapagnie.

— Wolelibyśmy, gdyby te co już posiadamy, działały poprawnie — odpowiedział z nutką złośliwości Amias.

— Wypadek przy pracy, każdemu się zdarza. Macie mało czasu, zapoznajcie się z aktami i możecie płynąć do Austerlitz — odparł, podsuwając agentowi pod nos stos papierów.

— Quillborn, już to czytałem. Nie ma tam nic wartego uwagi, chyba że interesuje cię jakiej płci jest robot sprząający.

— Odszyfrowałem część plików z hasłami. Jestem pewien, że akurat tego fragmentu nie widziałeś. — Wskazał na miejsce zamieszkania, numer buta, orientację seksualną, ale co najważniejsze – imię i nazwisko przewodniczącego całego projektu.

Pierwsze oznaki jutrzeńki malowały Austerlitz w żółtawych kolorach. Punktualnie o piątej trzydzieści ulice stolicy wypełnił stukot stóp i zapach państwowego dezodorantu Freedence. Małolaty kroczyły do szkoły, dorośli zaś do pracy. Najbardziej zwyczajny porządek rzeczy, z dwunastogodzinnym dniem wysiłku każdego szczęśliwego mieszkańca. Poczucie kolektywu budowały dodatkowo szkolne mundurki (w wersji męskiej, żeńskiej lub...nieokreślonej), okulary AR ustawione na kanał reklamowy podczas porannej podróży (marketing przymusowy – państwo musi jakoś zarabiać) oraz wszechobecna miłość i życzliwość w stosunkach wśród mieszkańców. Nie istniała gburowatość, smutek czy złość. Nikt nie potrzebuje wyłamujących się z reguł społecznych jednostek, łącznie z troszczącym się o dobro obywateli rządem wybranym w demokratycznych, równych wyborach. Hojność władz znalazła swoje odbicie w organizacji festynu, na który „zaproszony” zostanie każda osoba mieszkająca w Austerlitz, a jego transmisja odbywać się będzie na wszystkich kanałach medialnych.

Przygotowaniem wydarzenia od tygodni zajmowała się administracja centralna Państwa Świat. Oceanus Nostrum, przewodniczący i nadzorca projektu był tęgim, gburowatym człowiekiem. Motylkowe okulary z różowymi szkiełkami znacznie ocieplały fizjonomię ministra do spraw zakończenia. Długi krok Oceanusa stukał głucho w wyłożony przed jego stopami chodnik dywanowy, podczas gdy ten zmierzał do środka pawilonu. Okryta dwuwarstwowym namiotem budowla leżała w centrum Placu Marksa, otoczona z każdej strony prowizorycznie wykonanymi trybunami. Techniczna aparatura projektu pozostawała skryta pod ziemią.

— Co tu się do cholery dzieje? — oburzył się Oceanus. Wcześniej krystalicznie biała podłoga skaziła się pokruszonym betonem, a cała falanga androidów zagrywała partyjkę w Texas Hold'em.

— Strit. Wygrałem. Ha. Ha. Ha.

— Kareta. Głupiec.

— Ha. Ha. Ha. Ha — orzekła jednogłośnie reszta androidów. Nidoszły zwycięzca rzucił pozostałymi żetonami w przeciwnika, wszczynając bójkę między robotami.

— Daj się chłopakom rozerwać — Na rozjuszoną twarz Oceanusa spojrział stojący w kącie, ubrany w lnianą koszulę mężczyzna — Pracują dzień i noc nad...

— To pieprzone androidy, Frydland! Wszystko ma być gotowe na jutro, inaczej...

— Inaczej co? Wyrzucisz mnie dzień przed Końcem? — przerwał z przebiegłym uśmiechem na ustach.

— A żebyś wiedział. Niech cię Bóg sędzi, jakikolwiek Bóg. — Oceanus podszedł do Frydlanda, wręczając mu limonkową karteczkę samoprzylepną. — Masz ostatni kod, do roboty. Nie spartacz tego.

— Cóż. Do zobaczenia?

— Oby nie. Bywaj, Frydland.

— Zdejmij jutro te okulary. Wstyd tak odchodzić.

Pamiętna noc dwa lata przed Końcem. Ale wcześniej, zmiana szkoły, nowi rówieśnicy, pasje, możliwości. Inni, a jednak tacy sami nauczyciele. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, co to znaczy nie być sobą. Nasz świat wydawał się kolorowy i szczęśliwy. Zakazy, nakazy, masa pracy nic nie zmieniały, póki nasze myśli krążyły swobodnie. Za swobodnie.

Poznałem ją drugiego dnia. Ta wolność i dobro w jej oczach...szybko zostaliśmy przyjaciółmi. Dalej pamiętam, kiedy nie wiadomo skąd wytrzasnęła sushi. Podczas gdy wszyscy jedli ten sam zgodny z wytycznymi Ministerstwa Porządku posiłek numer dwadzieścia osiem lub dwadzieścia dziewięć, my opędzlowaliśmy ryż z surową rybą. Cała stołówka się gapiła. Zawiesili nas na tydzień, na szczęście znajomości taty uratowały mnie i Nyxarę (pozwólcie, że będę używał naszych nowych imion) z większych opresji.

Po którymś weekendzie była wyraźnie strapiona. Przestała odzywać się do kogokolwiek, nawet do mnie. Zaczęła przystosowywać się do reszty, nie wychylała się poza tłum. Przestaliśmy wypatrywać księżycy na ziemskim nieboskłonie, jak to mieliśmy w zwyczaju podczas przerwy obiadowej. Czułem, że coś jest nie tak.

Złapałem ją po wyjściu ze szkoły. Poszliśmy na przystanek metra, jak każdego dnia.

— Chcę się stąd wyrwać. A ty? — palnęła, gdy zabrakło przechodniów w okolicy.

Autentycznie nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Wydaje mi się, że to wtedy coś się we mnie obudziło.

— J-jak? — wydusiłem wreszcie.

— Bądź dzisiaj o dwudziestej drugiej pod pomnikiem Bonapartego. Jeśli się nie zdecydujesz, niech to pozostanie między nami, Amias. Dzięki. — powiedziała pogodnie.

Niecałe cztery godziny na tak kluczową decyzję? Od razu po powrocie ległem się na łóżko. W wieku piętnastu lat mogłem zdecydować, jakiego życia chcę. Wyboisty, niepewny byt czy pozbawiony zmartwień, szczęścia, smutku i niespodzianek żywot? Wygodna pozycja jako następcy ojca pozwoliłaby mi na zredukowanie niektórych skutków chipów. Lecz nie o to w tym chodziło. Chciałem pełnej wolności za wszelką cenę.

Wyszedłem z domu niosąc na barkach ciężar mojej decyzji i szkolny plecak z prawie zerwanym szelkami. Wyposażyłem się w naprędce wykonane bułki z dżemem, parę ubrań i rzecz jasna kreatynę. Pierwszy raz, odkąd pamiętam oddychałem zapachem nocy. Gwiazdy zarysowane na firmamencie jeszcze nie zostały osiągnięte przez działania ludzi. Mogli przyćmić każdą oznakę wolności, ale nieba nie zakryją. Kontrast między rzeczywistością, a tym czym karmili gmin był ogromny. Zmrok znany z podręczników jawił się jako nijaki. Mroczna, pusta przestrzeń miała napawać człowieka strachem i niepewnością. Zupełnie jakbyśmy cofnęli się do antyku.

Monolit francuskiego bohatera narodowego powoli rozpościerał się na moim horyzoncie. Napoleon dosiadywał z dostojnością cesarskiego konia, trzymając w lewej ręce rozwinięty do podłogi zwój. Wygrawerowany na nim tekst zawierał dziesięć punktów konstytucji. Państwa Świat, oczywiście. „Nieustanne dążenie do pierwotnej wolności” oraz pozostałe pseudoliberalne sformułowania zwieńczone zostały podpisem Bonapartego.

Cios trzonem buławy ułatwił mi metafizyczną przeprawę do dziewiętnastego wieku. Kilka (może paręnaście) minut później odzyskałem przytomność, budząc się w środku niechlujnie zachowanej przyczepy. Od razu poczułem, że się poruszamy. Nyxara wyjaśniła mi, że Kemal „wziął mnie za urzędasza”. Nie bacząc na to, uwierzyłem w dobre intencje nowo poznanego wybawiciela, ciesząc się z nierozbitej czaszki.

Pojazdem zakołysało, a do naszych uszu dobiegł dźwięk uciekającego z tylnej opony powietrza. Od razu poznałem tego nudnego, szarego SUV-a ukazanego w pełnej krasie na szybach drzwiowych. Od początku mnie szpiegował, czy może zamontował podsłuch? Bądź co bądź, tata zawsze wiedział więcej. Ku mojemu zdziwieniu, zatrzymaliśmy się na polnym uboczu.

Potem dowiedziałem się szczegółów. Kemal okazał się bliskim przyjacielem Oceanusa, mieli wspólną przeszłość w partii. Zaczynali pełni pasji, chcieli uratować to, co jeszcze dało się zachować z poprzedniego świata. Ten pierwszy opuścił stronnictwo masę lat temu, kiedy w życie weszła ustawa o chipach. Tata pozostał, jak widać jego lojalność popłaciła. Czy zdradzenie pierwotnych ideałów warte jest zapewnienia dobrobytu rodzinie? Dalej nie umiem odpowiedzieć na to pytanie.

Trząsałem się czy to z zimna, czy z podenerwowania. Po chwili usłyszałem taniec metalicznych trzasków dochodzący z zewnątrz. Rapiery świstały w powietrzu, a obaj mężczyźni nie wymienili dotąd ani słowa. Nachylając się z odpowiedniego kąta, zdołałem ująć kawałek pola bitwy. A raczej tego, co przed chwilą tym było. Tata leżał półżywo na opasłym brzuchu, ślepo patrząc w leżącą pod nogami przeciwnika broń. Pióro z filcowego kapelusza Kemala oderwało się pod wpływem bujnego wiatru, trafiając dudką w czoło Oceanusa. Swoisty gwóźdź do trumny. Podbródek taty spotkał się z ziemią, odsyłając go na urlop do krainy snów. Kemal nie żyje. Niech żyje Quillborn!

Szkwał zahuczał w marnej egzaltacji, rozprzestrzeniając dalej niepokój Amiasa. Rozterki i niepewność osiągnęły punkt krytyczny na etapie procesów myślowych, zatrzymując chłopaka na rozdrożu. Pierwsza droga, porośnięta krzewami bagno, dłużyła się bezkresnie ku granicy horyzontu. Krótka, niewydeptana jeszcze ścieżka stała do niej w opozycji. Zachęcała atrakcyjnością, lecz odrzucała nadmierną prostotą.

Prom Opium XXXI dopłynął do portu, wypływając z siebie kolejne kilkanaście tysięcy osób. Amias i Nyxara zdołali przedostać się na suchy ląd stolicy, a następnie zaczęli kierować się tam, gdzie szczodra administracja Austerlitz alokowała obywateli. Cyfrowe billboardy wyświetlały czerwone, dostarczające dopaminy strzałki prowadzące do placu. Uzbrojone w karabiny M16 Jednostki Pokoju pilnowały, by nikt nie poszedł w nieodpowiednią stronę.

— Detektor wskazuje na stabilizację pola energii ujemnej. Osobliwość gotowa do pełnej absorpcji.

Humanoidalny komputer przesłał wyniki obliczeń do systemu, po czym zgąś, zamierając w bezruchu.

— Dobra robota. — W głosie Frydlanda rozbrzmiewała obojętność i brak zainteresowania. — No, minuta i możesz otwierać — dodał, nachylając się nad mikrofonem stojącym na biurku.

— Liczę, że dopilnowałeś wszystkiego.

— Wiesz, nie chciało mi się sprzątać tych androidów — ziewnął.

— Natychmiast to napraw, jeśli ci życie pięciu minut miłe — odparł ze złością Oceanus. — Jak możesz być leniwy w takim momencie?

— To i tak nie ma znaczenia — ocenił śpiąco. — Już za dużo tej pracy. Odpocznijmy, stary druhu.

— Będziesz miał na to czas. Trochę szczęścia i wylądujesz w zamieszkannej galaktyce.

— Wolałbym, żebyśmy odkrywali je w inny sposób.

— Postęp, Frydland, postęp. Po cholerę mamy czekać wieki na następnego proroka czy innego geniusza? Jeśli coś ma pójść do przodu to dzisiaj albo nigdy.

— Zostawiłbyś następnym pokoleniom kawałek tortu.

— Weźmiemy cały.

Przewodniczący wyszedł zza czarnej, błyszczącej złotymi kropkami kotary kując publikę w oczy lawendowym garniturem. Jego prawa dłoń wydłużyła środkowy i wskazujący palec w geście victorii, a zęby wykrzywiły się, ukazując żółciejący uśmiech.

— Darujmy sobie romantyczne wstępy. I mnie, i wam się nie chce. No, nawet dużo was — skwitował, oceniając liczbę zgromadzonych na trzy miliony. — Szanowni państwo, oto Ekstremalnie Wielki Kolosalny Ogromny Rozległy Monstrualny Akcelerator cząstek! — Androidy odleciały z namiotem, odsłaniając dwie niewielkie, nieznacznie oddzielone od siebie części całej konstrukcji. — Och, zapomniałem. Większość tego cacka jest pod ziemią. Ale i tak robi wrażenie, musicie przyznać.

Tłum niczym na wezwanie jednogłośnie zaklaskał. Amias i Nyxara przedzierali się do pierwszego rzędu, strącając na bok rzeszę zahipnotyzowanych gapiów. Drogę wskazywały wiszące nad dwoma urządzeniami tabliczki – czarna i biała.

— To co zawsze, nie? — Głos Nyxary przebił zagłuszającą falę wiwatów.

— Tylko w teorii. Tej metody jeszcze nie stosowaliśmy — odkrzyknął Amias, poprawiając w ukrytej za płaszczem dłoni zmodyfikowany aplikator antymaterii, który teraz przypominał bardziej karabin snajperski niż pistolet. Lufa została znacznie wydłużona, a spust skalibrowany. Holograficzny celownik wyświetlał dystans do celu, moment degradacji nanometrycznego pola wokół pocisku oraz jego przewidywany czas lotu.

—...I właśnie dlatego, już za parędziesiąt sekund dopełni się to, co zaczęli Jezus, Mahomet, Budda i wszyscy prorocy. Niech dopisze wam wszystkim szczęście. — Oceanus zakończył swój merytoryczny wywód, podnosząc prawą rękę do góry w geście satysfakcji.

Amias pośpiesznie rozłożył trójnogi bipod na kawałku wolnej przestrzeni.

— Pośpiesz się! — Słowa Nyxary poprzedziły uruchomienie pierwszej części akceleratora cząstek.

— Fascynująca czarna dziura, prawda? Cały czas ją zwiększamy. — Oceanus wskazał lewą dłonią na wyświetlany za jego plecami obraz, pokazujący miejsce zderzenia się cząstek z pokazywanym przybliżeniem. — Tam, gdzie noc, tam i dzień. *Consummatum est*.

— Ostatni moment, strzelaj!! — Stojący w pobliżu jakby obudzili się z hipnozy, obracając się w kierunku Amiasa i Nyxary. Wrzask rozległ się aż do sceny. Spoglądając w stronę źródła dźwięku, Oceanus otworzył nieświadomie usta, zastygając. Trzymany przez przewodniczącego mikrofon spadł na ziemię. Nicość wypełniła Ziemię.